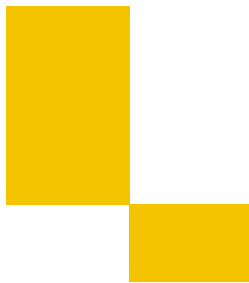




Akademia Sztuk Pięknych
im. Jana Matejki w Krakowie
1818

Wydział Form Przemysłowych



1964–2014(+10)



Barbara Suszczyńska-Rapalska

Zachwyty i abstrakcje

2013

Człowiek wytraca ten entuzjazm, z jakim odnosił się do rzeczy, spraw. Kiedyś mu się wydawały takie ważne, takie istotne. Niegdyś niósł zapał, gniew, wściekłość... Poruszenie. Nie mógł zasnąć, spać z myślą: „Ja jutro to załatwię, i to w odpowiedni sposób”. Potem to się znowu uspokaja, ale jednak z biegiem lat. Przeszłość ma dla człowieka już inne znaczenie, gdy dzieją się w jego życiu rzeczy, których się nie spodziewał. To zawsze jest tak, prawda?

Vanitas vanitatum

Nie poruszajmy pewnych rzeczy, nie przypominajmy. Bo poza tym po co? A może ja nie mam racji, może mi się tylko wydaje, może to sen, mara. Tym bardziej że człowiek ma chyba taką tendencję, nasilającą się w miarę upływającego czasu – nie chcę powiedzieć starzenia się – posuwania się w latach, że patrzy troszeczkę inaczej. Vanitas vanitatum.

Nadchodzą rzeczy, których się człowiek nie spodziewał, nawet nie przypuszczał, że go coś takiego w ogóle spotka.

W efekcie on jest dzisiaj poza tymi rejonami, które go niegdyś wciągały, znajduje siebie w zupełnie innych – jak to się teraz mówi – klimatach. I tamto, jak sądzi, go już nie dotyczy. I potem okazuje się, że dotyczy. I to stosunkowo mocno i właściwie nie za bardzo wie, jak się znaleźć.

Chyba że są to osoby, które są bardzo emocjonalne w stosunku do dnia codziennego, w stosunku do uczuć związanych ze swoimi bliskimi, losu, chorób.

Moderato

Jak to było niegdyś wielkie, jakie to było ważne, właściwie tam lokowałam całe życie. Wydział. Katedra. A teraz to jest takie moderato cantabile. Umiarkowanie i tak trochę śpiwnie. To znaczy wygasa bunt. Zaczynasz się coraz mocniej zastanawiać: „Czy ja mam rację?”. Chcesz być uczciwy względem samego siebie. Ja mam to, przeżywam to pytanie, czy ja rzeczywiście mam rację, czy mnie tylko tak coś nie ponosi.

A przy tym bardzo trudne jest nakreślenie swojego punktu widzenia. Owszem, są osoby, które mają bardzo stabilny ten punkt. Wymyśliły... tak ma być. Idą za tą wymyśloną mrzonką. Inni z kolei rewidują swój punkt widzenia, za każdym razem, gdy dzieje się coś innego. I już jest coś innego albo, no, jednak jest to samo, następują te zmiany.

Troszkę szkoda takiego nastawienia, podejścia... może nie nazywajmy tego euforią, ale buntowniczego? Pełnego zaangażowania.

Umykające sedno

W pragnieniu dochodzenia do prawdy. Do prawdy! Takie wielkie słowa tutaj rzucam. Jak to było naprawdę? Kto miał tu rację? Jak to się kształtowało? Szukanie sedna sprawy, które gdzieś tam umyka, albo ono tak się zmienia, wynaturza, przyjmuje coraz to nowe szaty, takie nowe kokardki, nowe róże itd. Nowi ludzie przejmują pałeczkę, młodzi.

Zespół

Ja Smoleńska trochę nie poznaję. To się wszystko zmieniło. Trudno, głupio byłoby się na to oburzać. Z drugiej strony przecież to bardzo dobrze. Chociażby w mojej Katedrze. Młodzi, oni już czują, że coś przejmują, jeśli nawet są naznaczeni jeszcze przeze mnie. Widzę w nich, ich działaniach ciąg dalszy. Zdają sobie przy tym z tego sprawę – z drugiej strony – że w tym naszym, moim zespole nigdy nie było takich osób, które chciałyby czy mogłyby kontynuować... Ambiwalentność uczuć wobec tej sytuacji? Wobec tego układu w zespole, z czym jeszcze się wiąże? Jak człowiek coś powie, to zdaje sobie sprawę z tego, że to jest nie tak do końca. Przez porównanie z innymi mogę powiedzieć, że moi współpracownicy nie byli tymi ludźmi, którzy bardzo chcieliby czegoś, którzy parli do czegoś, którzy mieli swoje *idées fixe*, czy nie *fixe*, czy autentyczne idee. Bo były to osoby zapracowane, które w tamtych latach tu widziałyby swoje miejsce, swoją rację bytu...

Smoleńsk 9

Dla mnie Smoleńsk był takim miejscem, powiedziałabym, świętym miejscem, wyjątkowym, jakkolwiek brakuje mi tu właściwszego, dostatecznie mocnego słowa. Ja znaczenia tego miejsca doznałam, a zarazem ono miało dla mnie znaczenia.

Niegdyś dziwiłam się, dlaczego Smoleńsk mnie tak zatrzymał. Początkowo miałam inne plany życiowe. I nagle, przez przypadek pewien, ja się tu znalazłam i coś mnie tu zatrzymało. Wsiąknęłam w to. I zostałam, byłam pod sztandarami Wydziału.

Czułostkowa przyjazność

Według standardów współczesnych projekt musi być „przyjazny”.

Dzisiejsze ideały wyraża dobitnie to określenie. Projekt ma być „przyjazny”. Tak się mówi teraz. Pełna przyjaźń, umiarkowanie, spokój. Z dala od kontrowersji. Właściwie bez wzbudzania emocji. W tej „przyjaźni” nie chodzi o to, że coś się czuje, ale... Oj, jak ja go lubię, jak mi to bliskie, miło mi... Taki miły misio do pogłaskania, taki wyciszony. Nie zaszkodzi.

Nie wyobrażam sobie w takim razie, jaka jest opozycja. Co miałyby to znaczyć, że projekt jest nieprzyjazny.

Więc ta przyjaźń tych wszystkich obiektów, obiektów, tych drobiazgów, graniczy z... Być może Andrzej Banach, autor książki sprzed lat, *O kiczu*, nie uznałby tej przyjazności za cechę kiczu. Ta przyjazność ociera się trochę o czułość, o pseudosentymentalizm. Słodkie, miłe takie, że aż przesłodzone, zbanalizowane przez to, aż się niedobrze robi. Chciałoby się zmienić smak z tego słodkiego na jakiś inny.

To kalka z angielskiego „user friendly”? Stamtąd to przyszło do nas? Rok tutaj byłam nieobecna. Wróciłam niedawno po chorobie. Po tym powrocie z zupełnie innego środowiska, diametralnie innego, koszmarnego, ta „przyjazność” ukazała mi się tak płytka. Tam, gdzie byłam, znaczenie miały zupełnie inne życiowe postawy i sytuacje.

Wobec tej przyjazności chciałoby się czegoś trochę... obrazoburczego. Obrazoburczego zachowania, sytuacji wywołujących myślenie, może trochę buntu. Cóż znaczy takie powszechne przyjmowanie standardów?

Na Smoleńsk też się już mówi, że ma być przyjazne. Nie próbuje się przy tym wyjaśnić znaczenia związanego z tym słowem. Wiem, jeśli doszłoby nawet do rozmowy, to z taką przyjaznością mielibyśmy słuchać, jak oni nam wyjaśniają, my, którzy pytamy dopiero, czym jest przyjazność. Dyskusja i przyjazność? Ponadto ja się zastanawiam, czy słowo „przyjazny” pierwotnie nie charakteryzuje człowieka, czy właściwie nie odnosi się do stosunku człowieka do innego człowieka. Czy my tu zbyt łatwo nie godzimy się na takie przeniesienie na przedmiot.

Spory

Wydział swego czasu był miejscem wielu konfliktów. Ale zostały ukryte, zamiecione pod dywan. W każdym razie konflikty według mnie były tu bardzo mocne i dziwię się, że panuje teraz takie gremialne milczenie o tym. Chyba że gdzieś w pomieszczeniach, na boku, niektórzy się spotykają, mówią o tym, a ja to do tego nie jestem dopuszczona. Aczkolwiek takie moje przekonanie... doświadczenie. To były ideowe fronty, to były przede wszystkim fronty ideowe. Nie to, że ktoś kogoś nie lubił. Spory wynikały zasadniczo z odmienności sposobów myślenia, patrzenia, z różnic w rozumieniu tego, czym jest design. Dzisiaj robimy ten „design”. Wtedy tego słowa nie było właściwie w użyciu, nie myślano o designie. Powinnam używać określenia „projektowanie form przemysłowych”.

Etapy, kroki, stopnie

Ja zaczęłam studiować coś zupełnie innego, w ogóle mi do głowy nie przychodziło, że trafię na Akademię Sztuk Pięknych. To prawda, jak każdy młody człowiek interesujący się sztuką, byłam zafascynowana tym środowiskiem. Z czasem byłam studentką Akademii. Dyplom robiłam u prof. Antoniego Haski. Później pomału tam przechodziłam na tego młodszego asystenta, starszego asystenta itd., bo wtedy była ta dłuższa droga obejmowania różnych funkcji. Cały czas blisko Haski.

Jakkolwiek to, abym została na uczelni, zaproponował mi prof. Adam Wodnicki, który bardzo chciał, żebym została u niego asystentką. Młodszym asystentem, potem starszym. Jeszcze wcześniej odbyłam staż. Tak, wtedy ta droga była wydłużona. Młodzi obecnie pracujący uwierzyć nie mogą, słysząc o tych krokach, młodszy asystent, asystent, starszy asystent. Młodzi, słysząc o tym, się dziwią i patrzą na to z przymrużeniem oka. Ale tak było. Za każdym razem trzeba było pisać życiorysy, wykazywać się pracami itd., itd., tak że to nie było takie łatwe.

Pozostanie na uczelni i pracę w jego katedrze, zawiązując się wtedy Katedrze Podstaw Projektowania, zaproponował mi Adam Wodnicki. Były odwiedziny w domu, pan bardzo sympatyczny, prawda. Rozmowny. Pokazywał mi różne rzeczy, olśniewał mnie literaturą francuską, co było mi bliskie wtedy szczególnie, bo ja tam trochę spędziłam czasu w tej Francji... Z Francją byłam – że tak powiem – naukowo związana, uczuciowo i pod każdym innym względem. Tak, mój powrót do PRL-u był momentem heroicznym, szczególnie jak mnie zatrzymali na granicy, zarekwirowali mi wszystko... Musiałam czekać na ciocię, żeby mnie wykupiła pieniędzmi. Tak, te przejścia, sposób, w jaki mnie potraktowano i traktowano tu, przeżyłam bardzo mocno, odczuwałam bardzo długo... Nawet żałowałam powrotu.

Z prof. Wodnickim spotykałam się na płaszczyźnie fascynacji kulturą języka francuskiego. Ale ja jakoś czułam się nie w porządku, nie na miejscu. Myślałam sobie, dlaczego ja do Wodnickiego, skoro ja dyplom robiłam u prof. Haski. W związku z tym, gdy on mi to zaproponował, ja nie miałam żadnego dylematu, w którym kierunku iść.

PZPR

Do jakiego stopnia mogę sobie pozwolić na szczerość – zastanawiam się. Bo może są granice.

Ja, stosunkowo wtedy młoda osoba, na początku wcale nie orientowałam się w tym, kto jest kim. Mimo tego bolesnego odczucia PRL-u od chwili przyjazdu. Nie uprzedzam sobie tego, że Wodnicki był w partii. Nie dał tego odczuć. Haska nie był w PZPR, ja jestem o tym przekonana i moje zdanie jest takie, że na pewno mówił prawdę i na pewno nie był. Nie mam najmniejszego cienia wątpliwości, że tak było. Haska mnie nie namawiał, nie śmiał namawiać do wstąpienia, przepraszam. Natomiast Ankę Jadowską namawiał, no i skutecznie zresztą. Dobrze wiedział, że jak się ona zapisze, to będzie miała tutaj jakieś większe szanse. Ja w pewnym momencie myślę: „Dlaczego

on mnie nie namawiał, może się nie nadaje?”. Tak sobie pomyślałam. Może wyczuwał komu bliżej, komu dalej. Haska zgodnie ze swoimi przekonaniem się nie poddał, chociaż naciski były znaczne. Poddał się Otręba.

Dystans Haski

Antoni Haska miał bardzo mocne przekonania. On jak gdyby jednak zachowywał dystans. W okresie kiedy był dziekanem, musiał być na tych Radach Wydziału, a to go zawsze nudziło... To zbiorowisko ludzi... Jego struktura psychofizyczna tego nie znosiła. Tym bardziej że nie był skłonny iść w grupie, po jakiejś linii wydziałowej lub ulegać ideologizacji prof. Pawłowskiego.

Bez fraternizacji

Haska wprawdzie myślał, jak się potem okazało, o zatrudnieniu mnie, ale podchodził do tego łagodnie... Ze swoim spokojem, dystansem, wyniesieniem. Bez fraternizacji. Żadne zapraszanie do domu, żadne długie rozmowy. Po prostu nie chcesz, to nie. Stosunki utrzymywał na poziomie bardzo oficjalnym. Kultywował powściągliwość. Właściwie na jakieś sześć lat przed swoją śmiercią, mając osiemdziesiąt kilka lat wtedy, zaproponował mi przejście na „ty”. Zresztą ja to doceniałam i uważam, że to bardzo dobry system, cudowny, i chciałam podobne podejście zachować w katedrze, którą tam objęłam. Do momentu udało mi się to jeszcze w stosunku do dwóch osób, a już reszta to... Teraz to już nie tylko, że się nie udaje, ale spotkasz się z odrzuceniem... Dzisiaj triumfuje fraternizacja, nic nieznaczące „ty”. Jeśli dzisiaj temu się nie poddasz, to wyglądasz jak dinozaur. Formuła „pani” może też sprzyjać zachowaniu rygorów. Kiedyś Haska ujął to w ten sposób:

– Jeżeli ja widzę Zosię i Zosia zrobiła straszne rzeczy, i w ogóle nie pracuje, i nie przychodzi do pracy, i się spóźnia, i w ogóle jest do niczego, to ja nie mogę wziąć Zosi na

rozmowę i jej ostro powiedzieć: „Zosiu, jak ty się nie zmienisz, to...”. Natomiast w sytuacji, kiedy ja mówię „pani asystent”, „pani adiunkt”... to zobowiązuje.

Projektowanie abstrakcyjne

Od początku generalną dewizą Haski było, nazwijmy to w ten sposób, projektowanie o charakterze abstrakcyjnym. On mówił:

– Nie będę projektował butów, nie będę projektował pralki, fotelika, suszarki itd.

To była jego dewiza, co bardzo mocno zapamiętałam. Niemniej się już wtedy wielokrotnie zastanawiałam, czy to jest racja i czy to się w życiu sprawdza. Jeżeli student potrafi na tym polu abstrakcyjnym się znaleźć, dokonać sensownych rzeczy w tych zadaniach, „haskówkach”, zadaniach o charakterze abstrakcyjnym, to jest fantastycznie.

Chociaż to może z tą abstrakcją to jest bardzo trudna sprawa: co jest, a co nie jest abstrakcyjne. To było charakterystyczne, że zadania podejmowane u niego nie miały żadnego konkretnego przełożenia na codzienność... Nawet w sensie, że będziemy to produkować w małej serii i będzie to komuś służyło.

Przykład: zaprojektować zmiany chodu w takim modelu, wymusić na człowieku, żeby on nogi stawiał tak, a nie inaczej, by poruszał tak, a nie inaczej całym ciałem. „Przeształcenia chodu”. Nie sposobu chodzenia, tylko chodu. Robiło się takiego ludzika, takiego fantoma i wymyślało się, jak on miał tam sobie chodzić. Może teraz na niezbyt dobry przykład trafiłam, ale właśnie, co charakterystyczne, żaden przemysł nie zamówił, żadna fabryka nie zamówiła, nie wiadomo, jak to wycenić, nie wiadomo właściwie nic o realiach. Rozwiązywało się, rzucało się trochę idee. Nie było wiadomo, dla kogo, czy dla wielkoluda, nie było pomiarów antropometrycznych, nie było mierzenia długości stopy czy buta. Inny przykład: urządzenia stymulujące określony rodzaj ruchu. W podejściu studentowi pozostawiona była swoboda całkowita. Wtedy oczywiście

to mężczyźni głównie studiowali na Wydziale i wymyślali sobie takie różne rzeczy, realizowane w skali 1:1.

Bracia Żubrowscy, pamiętam, zaproponowali coś, co troszkę przypominało może urządzenia do ćwiczeń i miało ich charakter, ale z drugiej strony ich obiekt cechowały walory wizualne. Przypominam sobie pewne rozwiązanie zadania: widok człowieka rozpostartego, czy fantoma, na linach, z którym coś się tam dzieje. Rezultaty były tak mocne w swoim wyrazie wizualnym... Te obiekty istniały przez swój wygląd. Z pogranicza rzeźby kinetycznej.

Nie myślimy przedmiotem, właściwie pozostaje już sama sprawa chodu. Swoboda podejścia projektowego? Powiedzione jest tylko „chód”. Coś nie musi nogami chodzić, prawda? Słyszac „chód”, zazwyczaj od razu myślimy o nogach poruszających się. A przecież niekoniecznie. Można chodzić na rękach, na nosie. To były tego typu abstrakcje.

Skądinąd wyrzucony przez Pawłowskiego Jacek Stokłosa... Może nie potrzebnie to mówię, tak mi się to przypomina. Stokłosa trafił na obligatoryjne zajęcia u Haski. Zaprojektował pojazd poruszający się w różnych kierunkach. Jakie to było duże, po co to w ogóle jeździ, to było nieważne, nie było istotne. Pozostawała może sprawa wyglądu, tego sposobu poruszania się i jego efektu wizualnego. Haska potrafił się fascynować różnymi rzeczami. Przychodzi na zajęcia Stokłosa... Puścił to w Katedrze tu, po podłodze. A to idzie, idzie i zmienia sobie tor. Pan profesor cieszył się jak dziecko, to mu się tak spodobało, trochę ku mojemu pewnemu zdziwieniu. Myślę sobie, chyba nie miał do czynienia z zabawkami. Chcę podkreślić ten fakt związany z jego charakterem, ten rys jego charakteru. Nagle potrafiło go coś zafascynować. Olśnić i spowodować u niego radość. A pamiętać trzeba, że on nie był człowiekiem, który by się smucił czy radował ot tak sobie, szybciotko. W sposób prosty i łatwo brawa nie bił. Podobnie nie rzucał kalumnii. „Kalumnie” to może za mocne słowo. Nigdy nie oskarżał nikogo. Ani nie sypał kawałami. Nie powtarzał opowieści, nie powtarzał się. Tym bardziej nie oczekiwał na efekt, jaki tym wywoła.

Myśl żywa

Nie opowiadał zasłyszanych rzeczy. Nie powtarzał nawet swych myśli, nie szukał dla nich odbiorców, ich aplauzu. Nic z tych rzeczy. To było mu bardzo obce. On nie przechodził nad jakąś kwestią ot tak. Nie zamykał jej w swoich przekonaniach, zasłyszanych formułach. Poruszał ją, zastanawiał się nad nią. O czymś zaczynał mówić, to nie głosił przekonania na jej temat. On cały czas na głos zastanawiał się i myślał, przeformułowywał. Myślał na żywo.

Nie wykladał, nie wykladał materiału. W jego wypowiedzi budowało się zdanie za zdaniem, właśnie tu, teraz. On myślał na bieżąco.

Mówił w sposób spokojny, wyważony, bardzo powoli. Raczej bez planu. Przykład. Kiedy szedł tu na Smoleńsk, przypominało mu się, co to jest drabina Jakubowa, i zaczynał rozważania, snuł wyobrażenia. Czuło się, że on „wchodzi”, że ma tę drabinę „w głowie”. Na tym budował rozmowę ze studentami. Czasami był to żywy monolog, przechodzący w rozmowę. Z radością przyjmował głos studenta, który wychodził naprzeciw. Nawet wtrącenia studenta potrafiły go ucieszyć. Nie traktował ich jako przerywników, zakłóceń. Potrafił pójść w kierunku podsuniętym przez czyjeś słowa. Studentów tu nie było tak dużo jak dzisiaj. To umożliwiało rozmowę, wsłuchanie się.

Milczenia Pawłowskiego

Haska miał charakterystyczny sposób mówienia. Pawłowski też miał charakterystyczny. Ale mnie styl mówienia prof. Haski zdecydowanie bardziej odpowiadał. Uważam, że jednak był pełniejszy... jak by to powiedzieć, gatunkowo. Natomiast styl prof. Pawłowskiego był... Wobec uznania jego indywidualności ja także nie wypowiadałam swojej oceny jego postawy, jego oczekiwania, byśmy oczekiwali, co też może mu się z czasem powie po okresach długiego milczenia. To było już dla mnie irytujące. On się zastanawiał i zastanawiał, jakie będzie to drugie słowo,

trzecie słowo, czwarte słowo, a człowiek już nie pamiętał tego pierwszego i w końcu nie wiedział, o co mu chodzi. Niestety, może i on sam tego nie pamiętał i nie wiedział... Zmęczył przeciwnika... Nie przeciwnika, tylko zmęczył słuchacza. Nie zostawiał miejsca, nie tworzył pola otwartego na spór.

Milczał, milczał... Obiecując postawą, gestem, jakoby to w jego głowie rodził się nowy wynalazek, nowe coś, coś wielkiego, nowy świat. A potem w końcu wcale się nie rodził, a publiczność była wyczerpana czekaniem na narodziny. W oparach dymu. Jego milczenie wypełniało zaciągnięcie się i wypuszczenie dymu. Przy tym nie zostawiał miejsca na głos kogoś, na podjęcie przez kogoś wątku. Nie potrafił uznać, że już nic nie wniesie i pora skończyć.

Owszem akceptujemy to, że ktoś ma taki styl, mówi wolniej, z namysłem. Ale to jest już przesada, żeby półgodziny czekać – w tej chwili nieco przesadziłam – na następne słowo. Nie potrafił się wycofać i puścić tę publiczność, niech sobie robią coś innego. Nie mam myśli, nie mam pomysłu, co dalej, ale się nie przyznam. Muszę pokazać, że już, już coś mi majaczy...

To, i może jeszcze tamto

Odmienny charakter miały wypowiedzi Otręby. Mówił i mówił, i trudno było uchwycić, o czym, tyle dotyczył wątków, tyle wtrąceń. Myśl ukryta. Do wydobywania?

On tak drażył, a to jeszcze to, a to może jeszcze to, tamto. Między innymi z tego powodu nadano mu przezwisko, którego tu nie wspomnę. O Otrębie wszyscy mówili, że wówczas jeszcze, gdy posługuje się językiem angielskim, to jakoś lepiej mu wychodzi. W języku polskim usiłował coś przekazać, ubrać w słowa, to następowała degrengolada taka, która niefortunnie wpływała na studentów. Wszyscy to wiedzieli, mówili o tym, ale Otrębie to wybaczano.

Jednymi z najbardziej przyjemnych wspomnień są te, które dotyczą pana prof. Chudzikiewicza, prowadzonych

z nim rozmów niewymuszonych i niepodminowanych lękiem, po prostu ludzkich. Poranna kawa, jaką profesor częstował, miała zawsze moc ożywczą i świetnie pasowała nawet do tych rozmów, które dotyczyły naszego przyszłego „fachu”. Stało się tu na pewnym gruncie. Profesor był absolwentem Politechniki Lwowskiej, znał swój zawód inżyniera i projektanta, był entuzjastą nowego kierunku i w nim przewodnikiem.

Asystentem profesora był Adam Gedliczka, oddany mu w zupełności i Formom Przemysłowym. Miał znakomite kontakty ze studentami, nasycony wyrozumiałością dla słabości ludzkich, a również dopingujący do wysiłku. Był naukowcem, idealistą, pociągały go eksperymenty na urządzeniach potwierdzających stawiane tezy. Był projektantem kilku z nich. Projekty w Katedrze Kształtowania Środków Produkcji były dla mnie wysokim progiem do pokonania zbudowanym z elementów wiedzy technicznej, technologicznej, materiałoznawstwa, ekonomicznej i wszechpanującej tu ergonomii.

Marginalizacja

Konflikty między Haską a Pawłowskim nie były mityczne. Dziwię się, ba, ja jestem oburzona właściwie, może przesada, że nikt o tym nie mówi, nie wspomni. Raczej nagle słyszę, że oni się lubili, kochali prawie. Jak gdyby chcą zakopać te spory.

Ludzie, którzy współpracowali z Haską, siłą rzeczy byli traktowani jako outsiderzy, jako ktoś z innej gliny. Jego zespół jakoby się nie nadawał na Wydział Form. Wtedy to była bardzo mocno wyrażana ocena, teraz to brzmi śmiesznie i tutaj na Formach nikt się do tego nie przyznaje.

A przecież niegdyś czułam się krzywdzona, spotykając się z zarzutem, oskarżeniem, że pracuję u człowieka, który jest artystą. Powiem wprost. I tu spotykało mnie wiele przykrości, które miały taki bardzo autentyczny charakter, które były związane z jakimś na przykład wystawianiem prac, wysyłaniem ich na wystawy, na przykład do Gdańska.

Ja wtedy nie rozumiałam za bardzo, czemu mnie tak nie lubią, dlaczego się tak czepiają?

Spychano mnie na margines, poza towarzystwo... Odczuwałam boleśnie, że te osoby, które są razem wokół Pawłowskiego, uległy mu, to jednak nie dopuszczają mnie do tego swojego grona, że ja jestem troszkę poza. Szukany? Nie zawsze, żeby nie przesadziła tutaj, bo może przemawiać przeze mnie jakieś tam rozgoryczenie. Więc to nie, ale jednak tak się czułam. Jednak to były osoby, które były razem, natomiast Haska, a więc równocześnie jego najbliżsi współpracownicy, byli marginalizowani. O mnie mówiono „ta od Haski, ta od tego malarza”. Po latach nikt tego nie przyznawał. Ale malarzy w ogóle, artystów traktowało się w sposób, powiedziałabym, skandaliczny.

Gdy trafiłam tu, na egzamin na Formy, na trzecim piętrze, odczułam to. Zdanie tego egzaminu tak znowuż nie było dla mnie sprawą życia i śmierci. Nie odczuwałam takiego ciśnienia. Gdyby mnie nie przyjęto, zostałabym na filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Do tego egzaminu tu przygotowywałam się na Matejki. Kolejne dni malowałam tam martwe natury, akty. Boże drogi, wtedy tam człowiek przez trzy dni malował, w transie, nie to co teraz. Wysłałam... i przysłałam tu usmarowana od stóp do głów w tych farbach olejnych. Wpadłam tu, na to trzecie piętro. Przede mną pan Wacław Pieniądz itd. Siedzę i moje przerażenie, Matko Boska, gdzie ja jestem?

Ja przysłałam na te Formy, myśląc o wielkości doznań artystycznych. Wpadłam na tym egzaminie w obroty... Jak pan Pieniądz i ta reszta, i Jan Kolanowski, i Pawłowski, mnie wzięli w kleszcze swych przekonań... Ale jakoś wybrnęłam z tego nawet, i popatrzcie to jest pech...

Zdawałam na Formy przesycona biografiami wielkich malarzy, to mnie uwiodło, chciałam też projektować, ale nie bardzo zdawałam sobie sprawę, o co tu chodzi. Nie myślałam, że zetknę się z geometrią wykreślną niezapomnianej pani Barbary Gołajewskiej i rysunkiem technicznym u Andrzeja Samka...

Pieniądz

No i okazuje się, że ja tu bardzo ładnie zdałam ten egzamin, nawet u tego Pieniądza i tej reszty.

Pieniądz to też była specyficzna postać. Ja z nim miałam takie nieprzyjemne przeżycie, już na studiach. Otóż, ja miałam dużą kokardę zawiązaną, kokardę w kropki. On się przyczepił do tej mojej kokardy! Ale to był jeszcze drobiazg, ale jak potraktował Andrzeja Łopuszyńskiego...

To był taki mój kumpel z roku. Ja byłam wstrząśnięta i myślę sobie: „Więcej na te zajęcia to ja nie przyjdę”. Wprawdzie doceniałam Pieniądza krytykę Konkursów Chopinowskich. Wygłaszał ją tym mocniej, im bardziej czuł, że słuchają go takie jak ja, takie mieszczańskie panienki z dobrych domów... Ale co on zrobił? Łopuch przyszedł. Pieniądz zawołał go do tablicy i kazał mu narysować pług czy coś koło tego. Łopuch sobie nie poradził. Jak ten go zbeształ!

– Pan jest dupa, a nie plastyk.

To „dupa” było delikatne. Ja myślę: „Skąd ja się tu wzięłam, ja tego nie przeżyję”. Potem trzeba było opracować strategię, jak się zachować w takiej sytuacji. Łopuszyński wyłudował w Australii i tam siedzi teraz. W stanie wojennym wyjechał.

Abstrakcje Haski

Dawał popisy przy korektach. Dawał dowody, że on to się potrafi zachwycić tą przysłowiową plamą oleju.

– Rany boskie, popatrz! Niech pani popatrzy! – i robił taki skok ku czemuś. Zbliżał dłonie, by wykadrować „ten właśnie” fragment. Czasami wskazywał na kawałek ściany, innym razem na kawałek pracy, na kawałek podłogi, czyjeś sukienki... Nagle go coś zachwyciło i wtedy przyjmował tę swoją pozę, kadrował, zbliżał się. Oczywiście, ku uciesze gawiedzi. Trochę się naigrawano z tych jego rozsmakowań estetycznych.

Fascynował się pomysłem na proporcję, lśnieniem, matowieniem, tą barwnością, przejściami, tonami, niuansami. O tam, na tym pudle, na tym strzępie folii. Robił te swoje kadry i się potrafił tym autentycznie zachwycić. Czym? Dopiero później doszłam do tego, uświadomiłam to sobie: rzeczą, która nie ma żadnego związku z jakąkolwiek funkcją, czymś, co się jakoś by nazywało, o czym by było wiadomo, że czymś jest. Nie myślał o kartonie, papierze, pudle jako elemencie na przykład opakowania. Zatrzymywał go zbiór jakości tworzących ten szczególny świat doznania estetycznego. Abstrakcyjny. On jakby wyrastał poza rzeczywistość.

Zresztą skoro jesteśmy przy jego dydaktyce... Po jego wykładach, słuchacz – przepraszam – nie wynosił nic konkretnego. Zafascynowana, może nie powinnam tak teraz mówić, tymi jego wykładami była garstka ludzi, wybrana. Ceniła to, przychodziła i w ogóle to rozumiała. A reszta patrzyła jak na... To nie była rzecz, maszyna, wiertarka, obrabiarka, nic nie było związane z konkretem. Haska nie cierpiał nazywania rzeczy po imieniu, jak to się robi, mówiąc: „To jest szklanka”, „To jest telefon”. „Teraz projektujemy aparat”. Credo, które ja sobie zapamiętałam, myśl, która mnie przekonała, to... Nie jest tak, że my będziemy dobrymi projektantami, jak my zaprojektujemy tu szklankę, tu filiżankę, tu kominek czy tapczan. Nic z tego nie będzie. Co natomiast obiecuje? Otóż my projektujemy zbiór cech, które tworzą całość. Jeżeli raz coś takiego dobrze zaprojektujemy, co wzbudzi zachwyt, nie chcę tu w tym przypadku teraz powiedzieć „estetyczny”, ale zachwyt – to my potrafimy zaprojektować wszystko. Jak nam przyjdzie w tym życiu piekielnym zaprojektować pralkę, suszarkę, umywalkę, długopis, to sobie damy z tym radę, stąd czerpiąc. Znajdując daleko posuniętą umiejętność kojarzenia cech wizualnych, kojarzenia atrybutów, takich jak ten, że coś lśni, że jest matowe... Jeżeli zrozumie sens układu takich cech, tego zbioru elementów, potrafi ująć to, jak one mają być w stosunku do siebie. Ten projektant poradzi sobie ze wszystkim,

potrafi zaprojektować wszystko, a nie musi nauczyć się, jak zaprojektować buty...

Z tym że Haska kładł zasadniczo nacisk na cechy wizualne, aczkolwiek nie ograniczał się tylko do nich. Mówił o polu percepcji zmysłów różnoimiennych. Kładł nacisk na umiejętność koordynowania przeróżnych cech ze sobą. Kazał: Zaprojektuj sytuację, zaprojektuj obiekt, który zbudowany jest z części. Tam bardzo ważna była sprawa części i całości, wzajemnych relacji. To podejście stanowiło w jego przekonaniu bardzo ważną bazę, podstawę. Kto to przejdzie, to zrozumie, tym przesiąknie, ten będzie potrafił projektować odnośnie do konkretnych rzeczywistości. Te wszystkie cechy zrozumieć, przeżyć, określić, wykonać... Dla Haski świat był zbiorem takich cech. Obiekty postrzegał w tych jakościach. Natomiast jego wstręt budziło, było dla niego niesympatyczną rzeczą, nudziło go zajmowanie się tym, na przykład, jak się trzyma tę szklankę...

Miłośnik życia

Ciężkie miał to życie. Był na robotach w Niemczech, pracował u tego bauera. Kończył technikum mleczarskie, tam się naharował. We mnie budził podziw, dla swej postawy, umysłowości. Widziałam, że to nie jest paniczek, taki wychowany w luksusach, ten człowiek miał bardzo ciężkie życie. I ja się zastanawiam, w jaki sposób z tej wsi na Mazurach przetań sobie szlak do Krakowa? Stał się conceptualistą... Znał życie, w którym, jak to się mówi, chleb jest najważniejszy. Nic, żadnych dodatków, bo tam taka bida była. Piszcząco. Ktoś mu kiedyś przyłożył „chłopem pańszczyźnianym”... On był miłośnikiem życia. Nawet niektórzy sybarytą go nazywali. Dość gdy go zobaczyli na ulicy, jak on szedł...

Jego ogromną miłością, miłością jego życia, była Marylka. Druga żona. Z pierwszą żoną on bardzo szybko się z rozstał, tak to jakoś nie wyszło. Natomiast gwoździem prawdy, nie był pewny w stosunku do Marylki. Wodnicki mi w pewnym momencie opowiedział, że gdy Haska poznał

Marylkę, miał wahania. Marylka... Z dobrego domu panienka, śliczna panienka z dobrego domu, z bogatego domu... Wtedy nie bogatego, ale to przeszłość taka była... Haska radził się Wodnickiego, czy on jest odpowiednim kandydatem do ręki. Ona tu taka panienka z krakowskiego dobrego domu, a on chłop z pochodzenia. I Wodnicki:

– Ależ tak i oczywiście.

Właściwie ona nim sterowała. Ona chciała dywan zmienić, coś tam zmienić, to on by wszystko zostawił, wszystko, żeby spełnić jej oczekiwania i by być razem z nią. Gdy ona coś tam chciała czy miała zamiar gdzieś tam pójść, to on nie powiedział:

– Ale ja idę do Akademii do pracy.

Skąd. Ona była pierwsza w hierarchii wszystkich wartości. To była miłość niesamowita. Niestety, mu odeszła. Umarła.

Kolorystyka przemysłowa

Nazwijmy to tak, sytuacja ekonomiczno-polityczna skłoniła go do tego, by nazwać swą katedrę Katedrą Projektowania Kolorystyki Przemysłowej. To słowo „przemysłowa” musiało się pojawić, tego domagał się Pawłowski, mając przedłożyć projekt Wydziału do Ministerstwa. Aby mu tego w tym Ministerstwie nie skreślili.

Więc my na obrabiarki, na frezarki, na ten przemysł, na hale i do ludu, do przemysłu. To były strasznie ciężkie zadania. Nikt sobie w tej chwili nie zdaje sprawy, jaki w tych halach panował huk. Nijak pozbierać się nie można było. Widziałam Haskę zagubionego w takiej hali. Tu suwnice, tu to. Stąd zadania z kolorystyki „przemysłowej”...

Na bibułce

Podjmowaliśmy prace zlecone przez Zakłady Artystyczno-Badawcze, tak to się nazywało. ZAB.

Haska, ku mojej wściekłości, zyskał sobie opinię pazernego. Pazernego do granic niemożliwości. Ja zaś tam zyskałam

opinię ofiary biednej. To ten despota i chciwiec, a ja to ta biedna ofiara, której należy współczuć. Ja zawsze odpowiadałam, że ja tak doceniam jego umiejętności, jego znakomitość intelektualną, że to nie wiem, o co tutaj chodzi.

Niezależnie, kto dawał zlecenia, ZAB czy bodaj jeszcze ARAT... Wielkość Haski w czym widziałam? My przygotowaliśmy plansze, dokumentacje, w pocie czoła. Haska miał bibułkę. Na niej kilka kresek. Nie wahał się, żeby z tym iść na komisję. Przed nią, na oczach jej członków, coś jeszcze dorysowywał. Do tej pory chodzą po Krakowie te takie opowieści o Hasce z rysunkiem na bibułce – jak się okazywało – za ileś tam złotych. Jego ceny były naprawdę odpowiednie do jego wizji. Ale taką miał tę siłę przekonywania, siłę perswazji miał tak daleko posuniętą, że z tej komisji jak tam tych siedmiu grzmotów siedział, to nikt nie podskoczył, wszyscy podpisali.

Z Haską, z Ewą Mularz, ona jeszcze była studentką, z nią się dosyć dobrze pracowało, zdobywaliśmy dosyć dużo zleceń. Haska zrobił mnie kierownikiem robót. Haska to był sprycula. To podziwiam, w tym jego inteligencja, jego umiejętność życia właściwie też się przejawiała. Więc te prace szły do Warszawy. On to zawsze miał katar, więc nie jeździł. To ja tam jeździłam, z tymi pracami. Tu na Smoleńsk spędzałyśmy w trójkę całą noc nad tematami z programu PR5. To było projektowanie wnętrz mieszkalnych i osiedli mieszkaniowych. Pod egidą Haski. Z nim badań i dociekań całe mnóstwo, ale potem przystępowałyśmy do konkretów. Na komisje do Warszawy jeździłam. Muszę powiedzieć, że on nie był człowiekiem, który biłby się ostro z terminami, walczył z czasem. A tu jutro mam z tym jechać do Warszawy. Dziewczyny – siedzimy w nocy i robimy. Tam jeszcze trzeba było coś napisać i to zawsze na mnie spadało. Przychodzi Haska i bierze, i medytuje teraz, co jest dobrze. Człowiek nigdy nie mógł powiedzieć:

– Panie profesorze, nie skończymy tego i nikt nie pojedzie.

W każdym razie miał taką charyzmę, że ani ja, ani nikt z nas, nawet Mularz, która w końcu nie pracowała na uczelni w jego katedrze, nikt nie potrafił mu przerwać jego wypowiedzi i powiedzieć:

– To może jutro lub pojutrze się umówmy, a ja jeszcze muszę to napisać, bo trzeba skończyć, rany boskie.

On zaczynał od dyskusji założeń, jak gdyby wszystko jeszcze można było zmienić, pomimo tak późnej godziny i tej już właściwie absurdalnej sytuacji. On miał rację, to znaczy u niego w ogóle było coś takiego, że ja go słuchałam z wielkim zadowoleniem i bardzo tak wnikliwie skupiałam się na tym, co mówił. Bo trzeba było się naprawdę skupić, żeby go zrozumieć. Sam z kolei zachęcał do tego, by zastanowić się, co zmienić w jego rozumowaniu, w jego wypowiedzi, myśli...

To mnie najbardziej w nim fascynowało, że on tak potrafił rzecz sformułować, że to było właśnie to trafione w dziesiątkę i ani rusz nie można było już skorygować. Chociaż człowiek tego tak bardzo chciał, starał się, żeby to ruszyć w którąś stronę. Gdyby ruszył, to by było kłamstwo, nieprawda, blef. Nie spisywał swoich myśli, ale jeszcze zachowywał trochę z jego korekt, które przeprowadzał. Bo gdy Haska robił korekty, to lubił kreślić, coś napisać. Na bibułce, luźnej kartce.

Chciałam powiedzieć, dlaczego tu na Smoleńsk jeszcze nas tak nie lubili, skoro już zaczęłam mówić o tych pracach zleconych. Haska wypisał dobre kosztorysy. Gdy je pisał, to jeszcze cały czas mi mówił, że myśmy za czas poświęcony na pisanie kosztorysu powinni brać wynagrodzenie. Ja w tych kosztorysach się nie orientowałam. Mnie tylko tak powiadał. Wszyscy jego koledzy widzieli, jakie pisze kosztorysy, i tego mu nie mogli darować... Oj, śmiało ustalał kwoty. Nie cierpiałam, tylko mnie szlag trafił, co go tak tu wypunktowują? I wciąż się mówiło, że ten Haska to ma węża w kieszeni i zabiera całe te kosztorysy, że wstyd, hańba itd. Dzielił się tak w granicach... Hierarchia była

jak najbardziej zachowana. To zawsze Pawłowskiego stawiano za wzór, że on ostatni grosz wyciągnął i dał. A Haska nie był taki. Nie.

Estetyka

Tu kolorystyka, a tu jest obiekt? Tu robimy jedno, a tu drugie? On nie sądził, by jedno można było oddzielić od drugiego. Przeciwnie, przekonany był, że to się przenika, wiąże jedno z drugim. To znaczy on się potrafił tym zachwycić, ale jako zbiorem, układem elementów, jako kompozycją, gdzie jest, na przykład, ciemność i jasność. Z naciskiem nie na cechy funkcjonalne, tylko na cechy wizualne. On to nazywał informacją estetyczną o obiekcie. Mówił, że to estetyka. Mówił o tej przez innych tak znienawidzonej estetyce. Słowo „estetyka” obejmował na Wydziale zakaz używania. Piękno? To już w ogóle nie było co mówić. Estetyka? To ci głupi malarze? Wyśmiewani malarze. Z malarzy żeśmy się wyśmiewali, z artystów żeśmy się wyśmiewali, a i z inżynierów też żeśmy się wyśmiewali. To były te półśmiechy kpiarskie, kpiące. No co ten głupi inżynier tu mówi. Ci inżynierowie to głupole skończeni, a wszyscy malarze to co tam... Bo myśmy byli sól ziemi. My byliśmy najmądrzejsi. W takim duchu nas wychowywano.

Obecnie nastąpiła prymitywizacja obyczajów, gustów, spektakularny triumf pospolitości – stąd zachodzi konieczność dokonywania odbudowy części obyczajów, a przede wszystkim przywrócenia *standardów stosowności*.



Akademia Sztuk Pięknych
im. Jana Matejki w Krakowie
1818

Wydział Form Przemysłowych



1964–2014(+10)

Janusz Krupiński

Krakowska szkoła designu.
Wizje, wyobrażenia,
wspomnienia
jej mistrzów i nauczycieli

Wydawnictwo
Akademii
Sztuk
Pięknych
im. Jana Matejki
w Krakowie

ISBN 978-83-66564-65-7



9 788366 564657